

PÓŁSEN PSYCHICZNY.

WSTĘP DO ODCZYTU PROF. JANA BAUDOIN DE COURTENAY.

Dzieje ludzkości są prawie wyłącznie wynikiem czynów, dokonywanych w stanie półsennym. Nie mówię tu o śnie urzędowo uznanym, o śnie fizjologicznym, ale mam na myśli sen lub też pół-sen psychiczny, t. j. stan nieświadomości. Jak we śnie fizjologicznym, nie będąc wcale lunatykami, pod wpływem nieokiełznanych wyobrażeń, doznajemy nieraz dotkliwych skutków i dopuszczamy się czynów, na którebyśmy na jawie nigdy się nie odważyli, tak też sen lub pół-sen psychiczny, z zachowaniem wszelkich pozorów czuwania, umożebnia postępki, do których nigdy nie byłby zdolnym żaden człowiek psychicznie obudzony, t. j. żyjący w całej pełni świadomości indywidualnej. Można się gwałtownie zapalać, entuzjazmować, wybuchać, można niszczyć, znęcać się, mordować, można przewodzić, podpisywać wyroki, wydawać rozkazy i rozporządzenia nawet z wyżyny tronu, można być wodzem, prawodawcą, „filozofem“, prorokiem, wieszczem narodowym, można tworzyć stronnictwa, wyznania, ... a jednak pomimo tego wszystkiego spać, spać nieprzerwanie.

A już wszelkie tak zwane „zbrodnie tłumowe“, choćby najkrwawsze i najgłośniejsze, są zawsze i wszędzie objawami snu psychicznego. Człowiek, psychicznie obudzony, nie mógłby przyjmować udziału w takich zbrodniach. Tłumy, owe tłumy, co to „się nigdy nie mylą“, a jak uderzą, to zawsze trafią, te tłumy śpią. A usypia je, hypnotyzuje je, państwo z całą swoją organizacją wojskową i administracyjną, usypia je kościół, usypia je szkoła, usypia je prasa. Bęben, choć głośny, usypia, a tłum, maszerujący w takt bębna, śpi. Tresura wyznaniowa ze wszystkiem, co do niej należy, odurza i podtrzymuje senność. Szkoła, nietylko religijnie, ale także państwowo i narodowo wyznaniowa, szkoła, jednakowa dla wszystkich i zabijająca indywidualność, szkoła z nieprzebraną kopalnią „prawd“ i „uogólnień“, szkoła taka przyzwyczaja do myślenia na komendę i wdraża do snu

psychicznego już w latach młodocianych. A cóż dopiero mówić o bezmyślnej prasie podtrzymującej dzień w dzień drzemkę duchową czytelników!

Ci, co stoją na czele tych wszystkich instytucji, albo sami także śpią duchem, albo też, ze względu na własną korzyść, świadomie podtrzymują sen mas bezwładnych usypiając je makiem nonsensów i bezmyślności, upajając jadem nienawiści międzywyznaniowej i międzynarodowej.

Luli, mój maleńki, luli!

Przecież łatwiej cię będzie prowadzić tam, dokąd ja zechcę, łatwiej utrzymywać cię w stanie zwierzęcym, łatwiej osiągnąć ideał owczarni i pasterza. A kto cię zechce budzić, z tym damy sobie radę. Od czegóż z jednej strony stosy, szubienice, więzienie, wygnanie, z drugiej zaś podjudzanie „opinji publicznej“, wyklinanie z kazalnic, bojkotowanie, wybijanie szyb, kocie muzyki, a w razie potrzeby tępienie przez tłumy sfanatyzowane?

I wszystko w porządku. Niestety jednak opajany i usypiany myli się czasami co do kierunku i zwraca się przeciwko swym opajaczom i usypiaczom z całą wściekłością bestji zahypnotyzowanej.

Główną cechą tego snu lub też pół-snu psychicznego jest pomięszanie pojęć. Zamiast ścisłego rozbioru pojęć i ich dokładnego rozróżniania poddajemy się, jak w zwykłym śnie, panowaniu asocjacji czysto wyrazowych i wywoływanym przez nie wrażeniom. Rządzi nami nie myśl jasna i trzeźwa, nie chłodna rozwaga, ale nastroje, powstałe pod działaniem tych lub owych wyrazów. A w takim stanie pewnego rodzaju „sylogizmy“ potężnie działają. Jakież to bowiem uczucia i wnioskowania wywołują w nas wyrazy w rodzaju „ateusz“, „papista“, „nihilista“, „socyalista“, „arystokrata“, „tyran“. „goj“, „giaur“, „żyd“... na widok osobników lub też grupy osobników, dających się podprowadzić pod odpowiedni sylogizm! A od sylogizmu do działania, mającego na celu ubezwładnienie i tępienie, tylko krok jeden.

* * *

Korzystając z łaskawie udzielonego nam pozwolenia, zamieszczamy powyższy fragment z odczytu, wygłoszonego w Krakowie przed paroma tygodniami przez profesora J. Boudoin de Courtenay, który umysłem swoim niedopuszczającym podwójnej etyki i nie znoszącym żadnego oportunizmu, jakby przewidział wypadki które miały miejsce w ostatnich dniach w Krakowie. Pogłoska, że jacyś obcy ludzie rozrzucają między dzieci zatrute cukierki, wystarczyła żeby rzucić panikę między ludność żydowską, i sprowokowała ludzi zachowujących się zazwyczaj spokojnie i rozważnie, nawet wobec dotkliwych nieraz krzywd lub zniewag, do rzucenia się na trzech artystów którzy przyszli do mało znanej im dzielnicy, aby oglądać zabytki starej architektury i odrębności starej rasy. Że żydzi pogłosce tej uwierzyli dziwić się nie możemy. Wszak nam dotąd wierzyć każą, i lud w tej wierze systematycznie podtrzymywanym bywa, że krew dzieci naszych potrzebna jest żydom na macę. Półsen psychiczny

o jakim mówi prof. Baudoin zaćmiewa tak silnie umysły, zarówno z jednej jak z drugiej strony, że niema potworności, o którąby wzajemnie pomówić się nie mogły te dwa obok siebie od wieków żyjące społeczeństwa, i które oddawna współżycie byłoby zasymilowało, gdyby nie sztuczne podniety od najmłodszych lat wszczepiające jad wzajemnej pogardy, odrazy, i nieufności w dusze. Nikt nie podrzuca wprawdzie dzieciom żydowskim zatrutych cukierków, jak nikt krwi niewinnej z chrześcijańskich nie wysącza niemowląt i dziewic, ale zatruwa się stale dusze dzieci rasową i wyznaniową nienawiścią, która pogrąża je w półsenną psychozę, dopuszczającą zgrozę wzbudzające niesprawiedliwości i gwałty. Niema pośród nas trucicieli ciała, ale są truciciele ducha i ci jedynie są moralnie odpowiedzialni za wszystkie plony jakie posiew ich wydaje, a jeżeli władza dosięgnąć ich nie może, osądzić ich powinno społeczeństwo i napiętnować a zwłaszcza uczynić to powinny dobre i uczciwe kobiety, jak uczyniłyby to napewno, gdyby bajka o zatrutych cukierkach okazała się prawdą.

Marya Turzyma.

EDWARD CARPERTER:

MAŁŻENSTWO.

RZUT OKA NA PRZYSZŁOŚĆ.

Nie może, zdaniem mojem, ulegać wątpliwości, że przymus w związku małżeńskim — czy jest moralny, społeczny czy też tylko prawny — w wielu wypadkach działa zbawiennie; jakkolwiek znowu każdy dostrzeże łatwo, że jest rzeczą bardziej dla małżeństwa korzystną, jeżeli przymus ten przybiera formę bardziej moralną lub społeczną, nie zaś wyłącznie prawną. Albowiem wówczas staje się jego podstawa bardziej związek wewnętrzny, nie zaś pobudki zewnętrzne. Jestem też zupełnie przekonany, że reformy, któreby pociągnęły za sobą ciągłą zmianę stosunków miłosnych, musiałyby źle oddziałać i na charakter i na dobrobyt społeczeństwa. Jeżeli już musimy uznać, że małżeństwo na znacznie większej opierać się musi swobodzie, niż dzisiaj, to musimy również przyznać, że pewna ilość zewnętrznego przymusu ma swoje strony pożyteczne. Ten nacisk zewnętrzny przyczynia się n. p. bardzo do skupienia marzeń i przejść miłosnych na jednej osobie, a chociaż to czasem pociąga za sobą zacieśnienie pola doświadczeń, to przecież jest równocześnie bardzo korzystne, ponieważ pogłębia życie; w wielu wypadkach obie strony ochoczo skorzystałyby z pierwszej lepszej chwili niezadowolenia, żeby się rozejść, gdyby nie było żadnego węzła, któryby zmuszał do dalszego pożycia, mimo starcia i rozterki, nieuniknione po pierwszych uniesieniach miłosnych. Otóż ponieważ właśnie muszą przez pewien czas znosić wzajemne wady i usterki, więc uczą się rzeczy najlepszej, jaką życie dać może, bo pobłażania i względności, która z czasem może pogłębić się i zamienić na miłość,

od dawniejszej, wyłącznie zmysłowej, czystszą i doskonalszą, polegającą na długoletnich wspólnych doświadczeniach, pracach i wzajemnem przebaczeniu. Wreszcie istnienie takiego określonego przymusu, usuwa stanowczo aż nazbyt rozpowszechnione mniemanie, że małżeństwo ma za cel rozkosz wyłącznie.

Lecz mimo to wszystko, trzeba jasno i otwarcie powiedzieć, że wszelki taki nacisk zewnętrzny, wszelkie wkraczanie opinii publicznej w stosunki dwojga ludzi może mieć wartość jedynie wychowawczą; a główne zagadnienie polegać musi zawsze na tem, czy rzeczywiste małżeństwo istnieje, czy istnieje, bez tego przymusu czy też dla niego, węzeł wewnętrzny, ugruntowany w istocie obojga ludzi, stosunek, który wszystkim się narzuca i własną swą siłą wznosi się ponad wszelki przymus, i który w przyszłości umożliwi mężom i żonom swobodne i samodzielne określanie wzajemnych zobowiązań i uniezależni ich tak dalece, że tego nacisku i naporu zewnętrznego odczuwać nie będą.

Istotnie nie wartoby w ogóle o tem pisać, gdyby się nie wierzyło w możliwość takiego rzeczywistego małżeństwa. Nie ulega też wątpliwości, że im więcej ludzie o tem myśleć będą i im więcej nabędą doświadczeń w tych sprawach, tem głębszego nabiorą przeświadczenia, że istnieje trwały, całe życie — a nawet kilka egzystencyj — obejmujący związek dwojga ludzi, związek, polegający na zakrytych pierwiastkach wzajemnej przychylności i zgodności istot; a im głębszem będzie ich przekonanie, tem większy ich szacunek dla swej stałości, która takie związki utrwala, w porównaniu z przelotnemi miłostkami, które owe związki niweczą.

Pierwszym brzaskom miłości prawie u wszystkich mężczyzn i kobiet towarzyszą zawsze pewne objawy rozmarzenia tęsknego i czułości, które trwają długo i nie znikają całkowicie nawet wówczas, kiedy pociąg płciowy utracił już swą siłę. I to właśnie stanowi w niektórych szczęśliwych wypadkach podstawę zjawiska, które możnaby nazwać zjednoczeniem całkowitem osobowości. Najwyższem marzeniem człowieka jest może właśnie druga istota, pod każdym względem, cielesnym i duchowym, równie droga i ukochana, jak własna. Jasną jednakże jest rzeczą, że takiego stanu rzeczy nie można osiągnąć od razu, lecz, że taki stan rzeczy musi być powolnie dojrzewającym owocem długoletnich wspólnych wspomnień i ukochań. Miłość musi być podstawą takiego związku, lecz cierpliwość i najdelikatniejsza względność i panowanie nad sobą muszą ciągle stać przy pracy nad wzniesieniem trwałego budynku. W końcu oboje poznają duchową swą istotę, potrzeby wzajemne cielesne i duchowe, pragnienia, radosne i smutne wspomnienia, jakby to były ich własne, a przedewszystkiem poznają z biegiem czasu, a może skutkiem prób i powątpiewań, że głęboka potrzeba i pragnienie, które ich złączyło, nie jest lotne i nietrwałe, lecz, że tem silniejszem jest, im bardziej lata mijają.

Jakkolwiek taki związek doskonały nie zawsze się urzeczywistnia, to

jednak jest on przedmiotem pragnień wszystkich tych, którzy w ogóle o tych sprawach wiele przemyśleli. Każdy przyzna, że związek taki większe daje zadowolenie i większą ochotę do życia niż jak największa ilość przelotnych stosunków. Związek taki sam przez się narzuca się odczuciu duszy nowoczesnej tak, że nie potrzeba mu już sztucznego upoważnienia ze strony kościoła lub państwa. Lecz rozumie się samo przez się, że chcąc taki związek urzeczywistnić, trzeba cierpliwości i panowania nad sobą; a i to wydaje mi się zrozumiałem, że m o g ą być wypadki, w których nieco przymusu ze strony opinii społeczeństwa, a nawet ze strony prawdziwej ustawy może wpłynąć korzystnie, szczególnie u ludzi słabszych, których siła zbyt mała, iżby bez pomocy zewnętrznej obyć się mogła.

Monogamiczne małżeństwo nowożytne uświęcone przez kościół i państwo zdąża wprawdzie do tego ideału, lecz w istocie nigdy go nie osiąga, dlatego, że w wielu wypadkach zatwierdzając związki, które na n i c z e m się nie opierają oprócz na przymusie zewnętrznym i formułce kościelnej i państwowej, stworzyło stan rzeczy, który musiał z natury rzeczy okazać się złym i poniżającym, a w wypadkach pomyślniejszych, samo się skazało na zaciśnienie, wynikające ze zbyt wielkiej wyłączności.

Historyczny i fizyologiczny rzut oka na całą kwestyę doprowadziłby do zarzutu — może niezupełnie nieprawdziwego — że mężczyzna z natury jest polygamiczny. Nie trzeba również myśleć, jakoby polygamia w niektórych krajach i u niektórych plemion była tak poniżającą i nieszczęsną instytucyą, za jaką ją niektórzy mają, lecz, jak dowodzi Letourneau w swojej „Historyi rozwoju małżeństwa", postęp ludzkiego społeczeństwa był zawsze pochodem nieustannym od pomięszania zupełnego do indywidualizacyi, to też możemy przyjąć, że z postępem naszego gatunku — a każdy gatunek w tym względzie podlega prawom własnego geniusza — i z ustosunkowaniem się potrzeb duchowych i uczuciowych do cielesnych, nastąpi tem silniejsze wyindywidualizowanie się wszystkich głębszych związków człowieka. Jakkolwiek możnaby tu zarzucić, że człowiek staje się istotą coraz bardziej skomplikowaną i dlatego żąda rozleglejszej dziedziny stosunków, to przecież nie można uchylić wniosku, że im bardziej subtelnieją uczucia miłosne człowieka, tem mniej może taki człowiek znaleść równych sobie, którzyby wymaganiom jego zadość czynili, dlatego też stosunki jego miłosne muszą być trwalsze i mocniejsze. O kobiecie nie można utrzymywać, jakoby skłaniała się ku wielomęstwu podobnie, jak mężczyzna skłania się ku wielożeństwu. Chociaż oczywiście jest mnóstwo kobiet, tak w społeczeństwach cywilizowanych jak u dzikich, które żyją polyandrycznie, to przecież już wskutek długich okresów ciąży i mniejszych potrzeb płciowych, jeden mężczyzna fizycznie im wystarcza, a nawet wzmaga się ich zdolność wyłącznego oddania się jednemu, przez to, że z natury skłaniają się ku oddaniu i pragną miłości.

Możemy więc powiedzieć, że u obojej płci dokonywa się rozwój w kierunku coraz doskonalszego wykształcenia owych zjednoczeń par małżeńskich. (Unikam wyrazu „monogamia" dla smutnych obrazów, jakie się dziś z nim wiążą). A jeżeli z drugiej strony wzdragamy się przed wyciśnięciem na takich naturalnych związkach piętna nieodwołalności i dogmatycznej wyłączności, to przecież pragniemy, aby dążenie i powszechne tęsknienie do takich związków uznano za naturalny fakt, w który wierzy się tak, jak w naturalny pęd dwóch atomów różnych substancyj chemicznych, do wytwarzania złożonego atomu lub drobiny.

Nietrudno wytłómaczyć młodym, że chociażby nawet w młodych latach musieli walczyć z nadmiarem pożądań, to przecież najgłębsze marzenie ich istoty skłania się ku trwałemu związkowi z jednym towarzyszem względnie z jedną towarzyszką i, że chcąc to osiągnąć, muszą uczyć się poskramiać z całych sił nieokiełzane i bezcelowe parcie popędów i gromadzić wszelką cierpliwość i czułość dla urzeczywistnienia owego związku wówczas, gdy pora nań przyjdzie. Przeważna ilość młodych mężczyzn i dziewcząt z łatwością mogłaby stan rzeczy podobny uznać i powziąć z niego głębsze i naturalniejsze pojęcie o świętości małżeństwa, niż z wszystkich sztucznych gromów, jakie wydają o tym przedmiocie kościół i państwo.

Zapewne, że już samo napomknienie o miłości swobodnego wyboru w stosunkach płciowych odstraszy niejednych, — nie sądzę jednak aby przerazili się dlatego, jakoby nie wiedzieli, że mężczyźni już teraz cieszą się pokaźną wcale swobodą i, że wielka niezaprzeczenie część szkód związanych z tą swobodą powstaje nie z nieuznawania, lecz ze wstydliwego (fałszywie) zamykania oczu; nie przerażają się również dlatego, jakoby nie wiedzieli, że wielka ilość przyzwoitych kobiet i dziewcząt doznaje strasznych mąk i obaw jedynie skutkiem zupełnego braku doświadczenia w sprawach płciowych — lecz strach ich ztąd pochodzi u tych poczciwców z przekonania, że najlżejsze rozluźnienie więzów formalnych i przegród między jedną płcią a drugą nie może nic innego oznaczać (ani mieć na celu) nad całkowite rozerwanie wszelkich węzłów, a zaprowadzenia nieokiełzanego panowania chuci. Mają to przekonanie, że jedynie najbardziej nieugięty i najbardziej dręczący kaftan bezpieczeństwa może uratować społeczeństwo od obłędu i zniszczenia.

Lecz dla tych, którzy umieją nieustraszenie patrzyć na fakty i widzą, że prawdziwa istota małżeństwa coraz bardziej w duszach ludzkich wyzwala się z czczej formułki i wrogo się jej przeciwstawia, ci zapewne wydadzą okrzyk radości, że po tylewiekowem przecenianiu samej formy, jeszcze wogóle ostało się poczucie dla istoty tego węzła. A wówczas staną wobec pytania, w jaki sposób dać tej istocie formę naturalną, wyraz naturalny. Jeżeli raz sobie wyjaśnimy dokładnie, że tworzenie mniej lub więcej trwałych zjednoczeń — dla naszej rasy i naszych czasów — jest naturalnem prawem wzwyż wiodą-

cych dróg rozwoju płciowego, i że ten rozwój mimo wszelkie przeszkody i sztuczne zapory, mimo wszelkie wyjątki pozornie mu przeczące, dokonywa się powolnie lecz niepowstrzymanie, wówczas nie będziemy się przerażać na myśl o większej swobodzie tego rozwoju, lecz pomyślimy raczej o tem, w jaki sposób najlepiej i najrozsądniej można dlań stworzyć drogę wolną.

(Dok. n.)

Dr. SALOMEA PERLMUTTER

POŁOŻENIE LWOWSKICH ROBOTNIC CHRZEŚCIJAŃSKICH.

10. Tutkarstwo i wyroby cygaretowe.

Oto znowu gałęź pracy, zatrudniająca kilkaset robotnic we Lwowie w której przeważnie zajęte są kobiety, a dla której ekspertem w sprawie położenia robotnic tych, był tylko jeden przedsiębiorca.

Istnieje we Lwowie kilkanaście fabryk cygaretowych, których właścicielami są bądź chrześcijanie bądź żydzi. W jednych i drugich zajęte są żydówki i chrześcijanki, z których pierwsze wedle zeznań eksperta są znacznie zręczniejsze, więc chętniej przyjmowane, podczas gdy ostatnie pracują „ospale". Potwierdza się to, co podnosiliśmy na początku, że przedsiębiorca szuka w pierwszym rzędzie dobrego i taniego robotnika; robotnice też i robotnicy tam szukają roboty, gdzie warunki pracy są dla nich najlepsze. Powinny pamiętać o tem robotnice, gdy idzie o organizacyę, że interes wszystkich robotnic jest wspólny.

Niektóre fabryki tutek zatrudniają do 40 robotnic, inne po 10, 20, 30. Robota ich polega na sklejaniu papieru cygaretowego i mundsztukowaniu papierosów, lub tam gdzie tutki nie są sklejone, a te są postępowsze, na ściskaniu papierów w odpowiednich maszynkach i zakładaniu na nie potem „mundsztuków". Maszyny do ściskania papierosów są we Lwowie ręczne, obracane zapomocą korby, ale gdzieniegdzie bywają też motorowe maszyny.

Za tę robotę płaci się od sztuki. Za mundsztukowanie od 1000 cnt. 15, za klejenie od 1000, 10 cnt; raczej 15 cnt. płaci przedsiębiorca za 1000 tutek wliczając w to już zwijanie w rulony i układanie w paczki, tak, że robotnice, które dzielą między siebie te roboty, same obliczają się. Panna zaś, która dozoruje, pakuje rulony w większe paczki i bije numery, pobiera za swoją pracę 18 złr. tygodniowo.

Dobra robotnica zarabia w ten sposób 5—6 złr., pracując od ½9—1 i od 2—7 t. j. 9½ godziny dziennie. Lecz ileż jest tych najlepszych robotnic? Robotnica „słabsza“ zaś zarabia tylko 3—3½ złr. tygodniowo, którą to płacę osiąga się dopiero po dłuższej praktyce, nabywszy wprawę w robocie. W pierwszych czasach robotnica zaledwie 2—3 złr. miesięcznie jest w stanie zarobić.

A to była jedna z najlepszych fabryk, nie wszędzie płacono po 15 cnt. od 1000. Jak zeznaje ekspert, „żydzi jeszcze bardziej wyzyskują“, bo płacą po 6 cnt. od 1000. Pracuje się zaś tam dłużej. O ile wiadomo nam, to większe fabryki żydowskie płacą po 10, 12 cnt, ale wyzysk mimo to robotnic tych jest straszny. Sama płaca od sztuki jest już okropnym wyzyskiem, zmuszając robotnice do skrajnych wysiłków, celem zdobycia większego zarobku.

Widzimy też, że robotnice te z pracy swojej nie są w stanie utrzymać się. Sam przedsiębiorca zeznaje, że przeważna ilość tutkarek nie jada obiadów wcale. Przynoszą sobie cokolwiek z domów i zjadają to w czasie pauzy obiadowej, często nic ciepłego przez cały dzień do ust nie biorąc. Tylko „lepsze“ idą do domów na obiad, t. j. te tylko, którym rodzice w stanie są przygotować posiłek po ciężkiej pracy.

A są przecie między tutkarkami robotnice, które same muszą utrzymywać się, mężatki, wdowy i t. d. Jakież jest życie tych kobiet skazanych na utrzymanie się z 12—18 złr. miesięcznie! I tym robotnicom korzyści ogromne przynieść by mogła zawodowa organizacya, lub przystąpienie do istniejącej już organizacyi robotników introligatorskich, gdzie rozpocząćby mogły usiłowanie około polepszenia bytu swego. Niestety i tu próby dotychczasowe nie powiodły się; brak zrozumienia interesu własnego i groźba utraty pracy stanowiły dotychczas poważne przeszkody w stworzeniu organizacyi. Może jednak chwila niedaleką, gdzie organizacye takie zawodowe dla robotnic powstaną. Robotnice zorganizowane w stowarzyszeniu ogólno-zawodowem „Naprzód“ poniosą myśl organizacyi do wszystkich zawodów, do wszystkich warstatów i fabryk we Lwowie i pracą taką oddadzą usługę nietylko robotnicom tutejszym, ale całemu stanowi robotniczemu i dla kraju zrobią więcej niż jakakolwiek nowa gałąź przemysłu wprowadzona pod „dachy“ domów.

C. d. n.

ODEZWA

Towarzystwa „Zreformowanie wychowania i nauczania“ o **niezbędnej potrzebie reformy szkolnej** do nabycia we wszystkich księgarniach, w Zarządzie, Lwów, Gołębia 10, w Oddziale, Kraków, Zyblikiewicza 7, II. p. — oraz w redakcyi Nowego Słowa. 7 str. in 4-o, 15 centów.

JEDNA DLA WIELU.

TRAGEDYA VERY. *)

Vera, to natura refleksyjna. Zrywa się w nocy, przysłuchuje deszczowi miarowo uderzającemu w szyby. Ta noc, ten spokój zestrajają się jako tło do jej rozmyślań. Dopiero wtedy czuje się sobą. W jej duszy, w jej myśli wysoce krytycznej obudził się bunt przeciwko fałszowi, kłamstwu. Czuje ona, że fałsz ją opętał, szamoce się z nim i w te noce bezsenne żyje pełnem swojem życiem.

„Mam niesłychaną odrazę do bagna — do nizin. Chcę oddychać świeżem, czystem, jasnem powietrzem szczytów. Chcę prawdy moje wypowiedzieć słowami. Chcę zerwać osłony skrywające moją nagość — te ukryte więzy pętające moją samodzielność. Chcę spróbować stać się sobą — wydobyć z siebie moje własne najgłębiej utajone ja.

To szukanie prawdy męczy ją, a ciągła analiza roztraja. Tęskni za życiem pracy, chciałaby w koniecznym, ciągłym trudzie zagłuszyć swój umysł badawczy i odpowiadające mu uczucie.

„Tęsknię pomiędzy tymi powikłaniami i chaosem do prostych, naturalnych objawów życiowych“.

Czuje się tak strasznie samą wśród ludzi. Czuje rozdźwięk i niezrozumienie nawet przez ukochanego narzeczonego którego wyobraża sobie jako ideał doskonałości i którego mniema się być pierwszą i jedyną miłością. Ten okrzyk „sam, zawsze sam“, stanowiący tragedyę Niels Lyhne, ten okrzyk przyjmuje u niej jakąś łagodną, tęskną nutę. Bunt silnej indywidualności przygłusza zimna refleksya. Widzi ona marność swego społeczeństwa i niekiedy wyrywają się ostre słowa protestu.

„Cały nasz porządek społeczny musiałby frunąć w powietrze, jak pył podczas burzy!“ A dalej! „Jest jeden ogromny stek kłamstw ochrzczony mianem wstydliwości“.

A tak chciałaby kochać, działać — żyć pełnem życiem.

„A potem tęsknota aby móc być dobrą, czystą, bezgranicznie dobrą, rozsiewać szczęście wewnętrzne z tysiąckrotnym urodzajem. W takich chwilach kocha się wszystkich ludzi, wszystko jest tak blizkiem, wszystkie melodye życia śpiewają i dźwięczą“. W takie chwile nadzieja w nią wstępuje. Powiedziałbym, że instynktywnie upija się swą miłością i marzy....

„Świat jest dla nas tylko gruntem i tłem, na którym zbudujemy arcydzieło naszego życia....“

Ale to już brzmi jak oddalony grom. Widać, że to nie uspokojenie bezwiedne, szczere, ale upojenie. Upaja się walką, którą stoczyła z rodzicami za Jerzego, upaja się pierwszem uczuciem. Męczy ją to, w końcu wyczerpuje swoją energią, zdolniejszą do myśli, niżeli do czynu.

Niejednokrotnie też swoją bolesną Heinowską ironią zwraca ku rodzicom. Ale sama przed sobą boi się tego. Ona i w tem niechce być bezwzględną, przypomina sobie, jak bardzo ich kocha, jak bardzo oni ją kochają i zwala całą ich winę na czas, na społeczeństwo.

„Szczęśliwe pokolenie, które będzie żyło w lepszych, zdrowszych warunkach“.

Wiele życia postaci Very dodaje od czasu do czasu wtrącony epizod, który całą jej kobiecość, bez refleksyi, bez lirycznej satyry, wykazuje.

„Byłabym się może seryo na niego pogniewała, gdyby mi się nie wydał właśnie takim słodkim w swem zazdrosnem oburzeniu“.

Umiejętnie łagodzi autor takimi ustępa-

---

*) *Eine für viele.* Vera, Leipzig Seeman Nachf. w polskim przekładzie p. Stefanii Maybaumowej. Łodź Rychliński i Wegner. Książka ta wywołała w Niemczech wśród kobiet, moralistów i lekarzy polemiczną dyskusyę w której zabierali głos zarówno uczeni jak literaci i społecznicy — roztrząsając tzw. *Verafrage* — t. j. postawienie fizycznej czystości mężczyzny jako miary jego moralnej wartości — jak to było dotychczas przyjętem wyłącznie względem kobiety. (*Przyp. Red*).

mi tendencyjność książki. Jak żywą jest Vera w epizodzie bezsennej, zmysłowej nocy. Ale jej zmysłowość nawet jest tak czysta, liryczna, sielska. I kończy się znów refleksyą, krytycznym i łagodnym wyrzutem skierowanym do siebie samej.

„Szarpię kajdany nie mając sił ich rozerwać....

I on tej nocy jej pragnął

„... uwierzyłam w tej chwili w cud“.... ale zaraz spieszy sobie logicznie wytłómaczyć, że jedne i te same okoliczności sprowadziły te same też myśli. Upragniona chwila zaręczyn nie wywołuje w niej entuzyazmu.

„Próbuję silnie cieszyć się. Z przeświecających chwil szczęścia nastrój mój zamienia się w fałszywy patos, w udane szczęście, którego świadomość boli mnie. Czyż miłość moja jest tak mała i słaba, że nawet szczęście kochanego nie ma na nią wpływu“.— Niepokój nią miota który stara się różnymi sposobami wytłomaczyć, gdyż jej umysł musi wszystko zbadać, nie znosi niepewności. Wreszcie zatrzymuje się na smutnem przeczuciu.

„Może to przeczucie zmatrwień i żałoby, które rzucają już swe cienie?“

23 października kończy tak rzadko pogodnemi słowami....

„uśmiechamy się wtedy oboje.... cicho ... w te ciche, słodkie wieczorne godziny.. Jest szczęście....“

O tej pogodzie — 6 listopada przypomina sobie Vera z goryczą.

„Dwa tygodnie dzielą mnie od błogiego nastroju ostatnich wierszy. Dwa tygodnie!... Mnie wydają się one latami, dziesiątkami lat! ...“ Przeczuwany grom uderzył.

Idąc z Jerzym spotkała jakąś kobietę po której zachowaniu poznała, że to była jego kochanka.

„Łzy spłynęły mi do oczów i rozpaczliwe uczucie rozczarowania, gniewu i zazdrości zerwało się we mnie. Chwila ta uświadomienia skalała we mnie coś najświętszego co nigdy czystem nie będzie“.

On jej wszystko wyznał. Został tym samym prawym, dobrym, kochającym, ale zburzył ideał czystości jaki sobie dla wielkiej i świętej miłości wytworzyła w duszy.

Rozpacz nią opanowała, burzliwa, straszna! Najświętsze, jedyne marzenie dla którego żyła być jedyną dla jedynego znikło i zobaczyła siebie wobec Jerzego w rzędzie tych wszystkich upadłych kobiet które posiadał bez miłości i po których ma przyjść ona ze swojem uczuciem ogromnem, namiętnem i nie znoszącem podziału nawet w przeszłości.

„Godziny przesuwają się koło mnie w przerażliwej beznadziejności!.... Wlokę się przez godziny jak zmęczone, juczne zwierzę“. Mówi nareszcie kiedy bezsilna rozpacz zamienia się w beznadziejną apatyę.

Po długiej walce umysł znów zaczyna pracować. Vera chce zgłębić samą zagadkę społeczną i ze swego smutnego doświadczenia wydobywa okrzyk wielki, tragiczny. W imieniu całego świata kobiet—ludzi z głębi rozdartego serca woła:

„.... I kobieta ma dzielić ukochanego swego z dziewczętami z ulicy?....ma znosić bóle macierzyństwa, ze straszną świadomością, że ojciec jej dzieci w kupionych pieszczotach stargał swe młode siły — — nie brzydził się brudu, wstrętnych chorób, w obrzydliwem zwierzęcem rozbestwieniu odrzucił swą czystość.... Ojciec jej dzieci — powtarzam....“

Bunt głośny, wyrozumowany, credo-wzniosłe, bezwzględne wychodzi z pod pióra Very; żadnych kompromisów, żadnej podwójnej gry, tylko prawdy, prawdy i czystości. W lapidarnych słowach rzuca Vera swe wnioski, kończąc słowami:

„Mówię tu zupełnie nie osobiście, oderwanie od mego własnego życia Nacina się drzewa by wysączyć z nich żywicę, z ran takich powstają moje myśli....“

Walka między miłością a obrzydzeniem wzmaga się... z osobistego uczucia przechodzi w ogólno ludzkie, nie pokona swojej męki — szuka ukojenia w idei. Wierzy w ludzkość, wierzy w przyszłość jasną, czystą, nie znającą obłudy i fałszu. Widzi jak szczęście wspólnego pożycia czystych istot „tak rzadkie teraz coraz bardziej się rozpowszechnia, jak słońce, które oświetla swemi promieniami najsamprzód wierzchołki gór.. potem powoli spływa na doliny i zagłębia“.

Ciągłe przejścia, niepewności, ciągłe ocze-

kiwanie, i szamotacie się z sobą spalają nieszczęsną.

„Obserwująca połowa mówi: — przemóż się bo kochasz, a doświadczająca— wyrzeknij się, bo kochasz!“.

Im bardziej się przymusza do zniesienia rzeczywistości, tem więcej wstrętu czuje, aż pewnego dnia kończy dziennik „.... dziś po raz pierwszy powstała we mnie ta myśl — jak burza.... ta przerażająca myśl!“ Skrupuły wreszcie złamane. Ostatnia walka skończona Cisza, spokój śmierci.

„Idę za popędem potęgi, która jest silniejsza niż najlepsze przekonania“. Ostatnie stronice dziennika jak też i przedmowa — list do Jerzego tchną spokojną rezygnacyą, skwitowaniem ze swego szczęścia. Już nie ma rozpaczy, ale wyrozumowana konieczność.

„Wola moja jest silniejsza, a niżeli ma chęć życia“... Ale z tą rezygnacyą w parze idzie płomienna młoda nadzieja i ufność w zwycięztwo idei: wielkiego odrodzenia ludzkości przez miłość.

„Walcz ty za ideę za którą umieram! — „walcz dla mej pamięci, Jerzy!“

Rzadko propaganda idei z taką siłą, tak szczerze i entuzyastycznie bywa wypowiedziana.

Rzadko, a może nigdy, tendencyjna książka nie była zarazem tak wysokiem dziełem artyzmu. *Kazimierz Długosz.*

KRONIKA.

Wynik ankiety o położeniu urzędniczek w Austryi znajdujemy w majowym N. „Neues Frauenleben“.

Część danych tej ankiety zużytkował p. Nawiasky w swej książce. „Die Frauen im österreichischen Staatsdienst“, o której obszernie pisała p. Helena Gumplowicz, w N. 10 „Nowego Słowa“, pozostaje mi więc tylko dodać słów kilka specjalnie o warunkach hygienicznych, w jakich znajdują się kobiety urzędujące w Austryi.

O tych warunkach pisze dr. Ofner we wspomnianym piśmie.

Ankieta o położeniu kobiet urzędujących w Austryi była urządzoną przez „Austr. związek kobiet“ jeszcze w 1901 r. był wyznaczony specyalny komitet i jeden z członków tego komitetu dr. Ofner miał odczyt o wynikach ankiety na ogólnem zebraniu „Związku“ 28 lutego b. r.

Do ankiety stanęło tylko 4 kobiet pracujących w różnych urzędach w Wiedniu. Tę małą liczbę objaśnia dr. Ofner bojaźnią narażenia się władzy gdyby się ta dowiedziała o uczestniczeniu podwładnej w ankiecie. Już to daje dokładne pojęcie o stanowisku urzędujących kobiet względem władzy: dotychczas uważa się za wielką łaskę przyjęcia kobiety na urząd, opłacony tak, że wyżyć trudno — a umrzeć z głodu nie można.

O niskiej płacy kobiet urzędujących pisać nie mam potrzeby, bo dokładnie to odrysowała p. Gumplowicz w swym artykule: rzecz prosta, że ma to bezpośredni wpływ na stan zdrowia tych pracownic.

Przytaczam ciekawy obrazek:

Jedna z kobiet pracująca na stacyi telegraficznej pobiera za 10-godzinną pracę dzienną 80 koron miesięcznie. Utrzymuje z tego młodszego brata i nie mając żadnych wakacyi w ciągu całego roku, raz na tydzień może jadać mięso! Takich przykładów z owych 40-tu kobiet było dość dużo, choć zdarzały się i inne w pokaźnej liczbie. Oto dużo było takich, które mając zamożnych rodziców, więc całkowite utrzymanie w domu, używają zapracowanych pieniędzy „na szpilki“. Nie chcę bynajmniej twierdzić, żeby kobiety zamożniejsze nie garnęły się do szerszych horyzyntów, lecz przecie jest dużo aren działalności szerszej, gdzie nie stwarza się konkurencyi biedniejszym, utrzymującym siebie i rodzinę ze swej pracy.

Wszystkie prawie uczestniczki ankiety, należące do najrozmaitszych urzędów: telegrafistki, kasyerki na poczcie i na stacyach

kolei żelaznej etc. skarżą się jednogłośnie na niehygieniczne urządzenia w urzędach gdzie muszą pracować.

Pokoiki małe, ciemne i wilgotne, wentylacyi żadnej, lub bardzo prymitywna oto ogólna charakterystyka urządzeń w różnych biurach. Dodać trzeba że praca nocna (stacye telefoniczne, stacye kolei żelaznej miejskiej) tak szkodliwa dla organizmu kobiecego praktykuje się na szeroką skalę. Na małych stacyach kolei miejskiej (stadtbahn) jest taki system, że pracuje się 24 godziny, a potem 24 godziny wolne i znów cała doba siedzenia przy kasie z parugodzinnym zaledwie wypoczynkiem, gdy kolej nie kursuje. Nic dziwnego więc, że dzięki tym warunkom pracy, większość kobiet urzędujących skarży się na reumatyzm nieznośny, bóle głowy, chroniczne zapalenie oczów i szczególnie na ogromne zdenerwowanie To ostatnie najwięcej daje się spostrzegać u telefonistek, co warunkuje się samym rodzajem zajęcia. Kto choć raz w życiu spędził parę godzin w kantorze handlowym nprz. gdzie nieustannie rozlega się u telefonu dzwonek — ten wie jak to drażni. Szkoda, że niema odpowiedniej statystki, ale sądzę, że wypadki suchot wśród urzędujących kobiet muszą być dość częste: nie byłoby to nic dziwnego, Jedna z telegrafistek skarżyła się nprz., że podczas pracy odbywa się w biurze zamiatanie, przyczem tumany kurzu się unoszą i są wdychane przez siedzące przy aparatach pracownice.

Zobranie sekcyi „Związku austr. kobiet“, zajmującej się sprawami kobiet urzędujących, miało miejsce 16 kwietnia w Wiedniu. Z referatów, na tym zebraniu wygłoszonych, specyalnie zasługuje na uwagę referat p. Franciszki Ladislaw z Pragi o położeniu czeskich telegrafistek i kobiet pracujących w urzędach pocztowych. Z referatu tego widać, że nie jest ono lepsze od położenia pracownic tych w Austryi, o jakim dopiero co mówiliśmy. 23 i 24 maja miało miejsce w Wiedniu generalne zebranie „Związku wszystkich Stow. kobiecych Austryi“ („Bund der österreich. Frauenvereine“.)

O ruchu kobiecym we Francyi bardzo ciekawy artykuł pomieściła p. Iza Zielińska w N. 22 „Prawdy“. Dowiadujemy się z niego o żądaniach francuskich telegrafistek, urzędniczek banków, poczty i telefonów, żądaniach mających na celu polepszenie bytu, który przedstawia się mniej więcej taksamo, jak w Austryi. We Francyi telegrafistka może dojść do najwyższej płacy rocznej 1700 fr. w Austryi 1500 koron prawie jednakowo. Jak widzimy, na całej linji wre walka o sprawiedliwość, o jednakową płacę z mężczyznami.

Praca akordowa. Ciekawe dane co do wyzysku robotnic w fabrykach tytoniu znajdujemy w „General-Anzeiger für Mühlhausen und Umgegend“ (Nr. 104 z 17 maja).

Dowiadujemy się, że w miasteczku Büttstadt istnieje fabryka wyrobów tytoniowych, która aby zdobyć sobie tanią siłę roboczą, zaczęła przyjmować młode robotnice zupełnie nieukwalifikowane na tanich warunkach. Robotnica kilka tygodni uczy się i pobiera przez ten czas 2—3 do 3·50 marek, poczem staje się „wolną robotnicą“. Na czem polega ta wolność? Oto na tem, że za 100 sztuk zwiniętych cygar pobiera 18 fenigów do 24. Prócz tego, dbały o dobro robotnic pracodawca spisuje z niemi umowę dwuletnią, według której między innemi zobowiązują się one co tydzień z płacy oddawać 20 fenigów na kasę chorych etc. Jeżeli robotnica pod jakimś względem nie dotrzyma umowy, z fabryki przed dwoma laty wystąpi — cały w ten sposób zebrany kapitał przepada jej, w przeciwnym zaś razie zostaje jej wypłaconym. Zdarzyło się, że przez kilka lat 50 robotnic zerwało umowę; w ten sposób około 520 marek, krwawo zarobionych przez nie zostało w kieszeni pracodawcy.

Ciekawe są cyfry wykazujące, ile przeciętnie taka akordowa praca przynosi tygodniowo robotnicy. W wyżej wspomnianej notatce przytoczone są nawet nazwiska tych robotnic. Więc np. K. K., przez 8 dni zarobiła = 45 fenigów, po odtrąceniu owych musowych składek. Jest to początkująca, niewprawna robotnica.

M. F. zarobiła przez tydzień — 1 mk. 80 fen. (Utrzymuje starą matkę).

Uzdolniona i pracująca podczas wolnych godzin L. K. zarobiła 3 mk. 60 fen.!

Pozostaje tylko zapytać, z czego owe robotnice żyją?

Roczne sprawozdanie Towarzystwa „Sociale Hilfe" zdanem było na 6-tym generalnem zebraniu w Wiedniu z działalności za rok 1902. Grupy poszczególne rozwijały swą działalność z dużym skutkiem. W grupie „Nauczania" udzielano lekcyi kroju 96-ciu służącym W grupie „Ubrań" rozdano 244 matkom bieliznę dla dzieci i prócz tego dostarczono do klinik położniczych 4500 sztuk różnej bielizny dziecinnej. W grupie „Szkoła gospodarstwa dla robotnic" uczyło się gospodarstwa domowego 60 robotnic.

Działalność poważna i energiczna.

Położenie robotnic w Bawarji. O położeniu robotnic w Bawarji podaje dużo danych świeżo wydany „Reichs Arbeitsblatt" dodatek do pisma „Sociale Praxis". Według rocznego (za rok 1902) sprawozdania inspektora fabrycznego liczba robotnic fabrycznych w Bawarji w roku ubiegłym nieco się zwiększyła (78734 a w r. 1901, 77267) i ogólne ich położenie polepszyło się.

Ilość godzin pracy w różnych miejscowościach Bawarji jest różna ale przeciętnie nie wychodzi poza obręb 9—11 godzin na dobę.

W niektórych miejscowościach ilość godzin pracy zmniejszyła się w roku ubiegłym znacznie i raptownie nprz. z 11 spadło do 9. Niestety równolegle i płaca zmniejszyła się nieco. Obniżenie więc liczby godzin pracy było nie zwycięstwem humanitarnych idei, tylko spowodowane było chwilowym kryzysem w niektórych fabrykach: zapałek, cellulozy, papieru etc.

Inspektor fabryczny zarzuca w swym sprawozdaniu że w niektórych fabrykach, szczególnie zaś w cegielniach i wielkich szwalniach podczas sezonu dało się zanotować przeciążenie kobiet pracą nieraz do późnej nocy i w dni świąteczne wbrew zakazom prawnym.

W r. 1902 zanotowano 48 wypadków (w r. 1901 — 46), dotyczących w sumie 374 robotnic, takiego bezprawnego przedłużania pracy, a ileż pozostało niezanotowanych?!

Co się tyczy hygieny fabrycznej, to można zauważyć pewien postęp. nprz. w fabrykach, gdzie niezbędnem jest ciągłe stanie robotnic, wprowadzono małe pauzy, podczas których można trochę spocząć i posiedzieć. *St. Kelles-Krauz.*

Przegląd Prasy. W „Przeglądzie Tygodniowym" p. Centnerszwerowa współpracowniczka „Nowego Słowa" pisze artykuły bardzo zajmujące w kwestyi kobiecej p. t. „Przebojem". Ostatni (N. 23) poświęca sprawie prawodawstwa ochronnego pracy kobiet.

„Revue de morale Sociale" N. 15 przepełniony jest artykułami, obchodzącemi kobiety bezpośrednio.

Nowe książki M. Braunschweig:"Das dritte Geschlecht" Cena 1 mk. dr. Otto Henne „Prostitution u Mädchenhandel" Cena Mk. 1, 20. St. K. K.

OD REDAKCYI.

Osoby zalegające z prenumeratą za czas ubiegły prosimy o jak najrychlejsze wyrównanie jej. Przypominamy również, **że czas odnowić przedpłatę na bieżący kwartał** — celem uregulowania nakładu.

W. MAKOWSKI.

SREBRNE SNY ZŁOTOWŁOSEJ KSIĘŻNICZKI ZAKLĘTEJ W ŻABĘ.

Śniło mi się że:

Wypuściłem w świat książkę. Był to zbiór wierszów i prozy, lirycznych wzlotów duszy, i ułamków tragicznych walk świata, było tam wszystko, „olla putrida“, wszystko tak jak w duszy mojej; jakieś półsenne marzenia, coś niby rzeczywistość temi snami przesiąknięta, a czasem przechodziły niby zgrzyt jakieś echa z łąk życia, echa „prawdziwe“ naprawdę i ubierały się w rażące szaty ironii, albo wybuchały jękiem, któremu się zdawało, że sercem człowieczem zatrząść potrafi.... zdawało mu się...

Książka moja nosiła tytuł długi, złożony, tytuł ten miał się wiązać z tem, co było wewnątrz, brzmiał on: „Srebrne sny złotowłosej księżniczki zaklętej w żabę“...

Tak, w żabę... To straszliwa ironia, tylko baśnie, stare ludowe bajki, mogą się zdobyć na takie przeciwstawienie, zapożyczyłem więc z bajek tytuł dla swojej książki.... Bo te bajki tak cudownie zlewały się w pamięci z jakimś czarem dziecięcych snów, ze wspomnieniami o tych snach, cudownych bajecznych snach, gdzie księżniczki złocisto-włose i błękitno-okie przychodziły pieścić mię śpiewem swoim, opowiadaniami swemi, o tem jak potężni rycerze, przebijali się kopiami u ich nóg, jak złe smoki drapieżne, jak wichry porywacze czyhały na przechadzające się w parku dziewice.... i t. d. i t. d. i t. d. takie dziecięce sny...

Więc książkę swoją nazwałem tak, aby mi snów tych przypomnieniem była... A kto wie, może naprawdę była dusza moja niby owa królewna w żabę zaklęta, wolno jej było śnić cudne błękitne, srebrne sny o rycerzach, witeziach w cyzelowane zbroice zakutych, promieniących w słońcu stalowemi blachami pancerzów i hełmów, wolno jej było wspominać cudno barwne pyszne kwiaty ogrodów królewskich, gdzie małem dziecięciem sypiała, zmęczona zabawą usypiała na rękach piastunki, a szmer liści i pieśni polnych koników cudowną jej brzmiały kołysanką, to znów przychodziły niewolnice wschodnie i, ukrywszy się poza krzewami rozkwieconych róż, uderzały pieśnią misterną w struny harf i pieśń ta ich współzawodniczyć biegła ze skowrończanemi trelami w błękicie, albo ze słowików miłośnem śpiewaniem w zgodny łączyła się chór; a z kwiatów szły wonie upojne odurzające wonie... Wolno było zaklętej królewnie wspominać owe ogrody i kwiaty i pieśni... I tylko... Tak wiele się zmieniło w jej życiu, zaledwie dziś wierzyć może, że nie były tylko snem czarownym owe królewskie ogrody... Siedm rzek i gór siedm dziś ją od rodzinnego oddziela królestwa, może

już jej rodzice starzy nie żyją, a może ogrody zła ręka zniszczyła i zrównała z ziemią... Tak, wolno królewnie śnić o tych przedziwnych sadach kwitnących, i niewolnic pieśniach, i zabawach dziecięcych, a potem rycerskich turniejach... A potem. . A potem — nic nie wie królewna, co się stało. Jakaś otoczyła ją ciemność dziwna, niby ciężki gorączkowy sen... Długiego trzeba jej było czasu, żeby zrozumieć gdzie jest i co się z nią dzieje, żeby się nauczyć rozróżniać to nowe, zdaleka, z bardzo daleka tylko znane życie. Raz kiedyś i w tym ogrodzie samym zobaczyła królewna na ścieżce żabę, z płaczem uciekła na kolana piastunki, kazała się zanieść do pokojów zamkowych i już dnia tego nie poszła się bawić między kwiaty, lękała się, żeby znów nie zobaczyć płaskiego skaczącego stworzenia...

A teraz?...

Granicami życia nowego są dla niej brzegi mokradłowe niewielkiej sadzawki; rząsa zielona na powierzchni zgniłej wody leży, ponad nią stoi zielony las tataraków, tu i owdzie brunatne kity szuwarów, niby pióropusze na hełmach rycerzów kołyszą się, kiedy wiatr idzie nad wodą i zlekka marszczy jej leniwą powierzchnię... ha, ha, ha! — Pióropusze na hełmach, takie pyszne, śnieżne białe olbrzymie pióra ptaków zamorskich, ileż to razy pochylały się kornie do jej stóp, ileż to razy deptała może po nich... a może to był sen — kto wie...

Dzisiaj... Niema rycerzów, niema turniejów, nic niema; może tylko gdzieś z nad łąk nie dalekich dolata echo skowronków, gdzieś w olszach nadwodnych nocą słowiki nawołują kochanki swoje, albo też żaby nowe zaklętej towarzyszki zawodzą pieśni swoje, takie melancholijne, takie smutne, pełne lęku przed czemś, czy przed tą niezgłębioną sinością nieba usianego gwiazdami, które się tajemniczym obrazem kładzie na nieruchomą toń sadzawki, — czy może przed tą śmiercią, która tak prozaicznie sielankowo grozi im wciąż, trudno to wiedzieć, dość, że to płaczem raczej niżli pieśnią nazwać się godzi. Wsłuchuje się królewna w te dźwięki niby uderzenia dzwonków i klekotek podwodnych, i gdyby sama jak inne nie była i nie widziała jak, leżąc leniwie na wodzie śpiewają, gotowa byłaby pomyśleć, że tam jakieś zaczarowane, zaklęte dusze księży jak w procesyą Bożego Ciała w mistycznym ofiarnym pochodzie idą dzwoniąc i śpiewając jakąś błagalną pieśń, co jak skarga straszna w zwyż do Bożego przedziera się tronu... Czy dochodzi... królewna wątpiła...

A wokoło się kołysały lekko szuwary, ciepłym wiatrem zmarszczona iskrzyła się w księżycowem świetle niezajęta rząsą wody powierzchnia, cicha była czerwcowa noc... królewna śniła... wypłynęła na wody powierzchnię, wsunęła się na szeroki krągły liść grążelowy, skoczyła potem na biały lilii wodnej kwiat, porównywała przez chwilę kształty swoje niezdarne i wstrętne z cudną białością kwiatu; i była zła jakaś zemsta, rozkosz nienawiści i żalu do świata pełna, czuła ona ból przygniecionej lilii i cieszyła się, że kwiat

cierpi, a nic nie może uczynić, aby to cierpienie od siebie oddalić, ta krzywda taką jej sprawiała przyjemność; przecież ją skrzywdzono tak strasznie, cóż, że lilia temu nic winna, a ona czyż była winna czy ją kto pytał o winę?... I gniotła mokrą zimną piersią białe wonne listki kwiatu, i rozchyliła kielich łapami i ułożyła się tam niby w miękkiej pościeli u rodziców królewskim pałacu.. A wiatr kołysał zlekka wody powierzchnię, rytmicznie pochylał się kwiat biały, a zaklęta królewna śniła...

Śnić było jej wolno... Tylko śnić... Oto marzyły się jej nowe zapasy, boje... Wokoło koronkową budową galeryj, krużganków otoczony podworzec zamkowy pełen życia i gwaru, stają bohaterowie, witezie możni z ziem dalekich przybyli... i ona w dziew, księżniczek pięknych gronie, przodowna, nad wszystkiemi najpiękniejsza; ku niej wznosiły się spojrzenia zapaśników, a ona w rękach swoich miała wieniec złocisty przystrojony własną ręką urwanemi różami, wieniec dla zwycięzcy przeznaczony... Oto rozpoczął się turniej, stawają przeciw sobie zapaśnicy, a jeden między nimi piękny wspaniały; nie widziała lic jego królewna, ale przeczuła pod zbroją i serce jej drży i do Boga modli się o zwycięstwo dla rycerza; już, ostatnie starcie, z potężnym zapaśnikiem stanąć ma do boju, wieniec drży w dłoni królewny... Wtem wiatru podmuch silniej zakołysał wodą, pochylił się nenufaru kielich i zaklęta królewna ze snu obudzona przerwać marzeń nie musiała, żeby iść błąkać się po ciasnych wodach sadzawki, szukając pożywienia rozgrzebywać lepki ił na jej dnie, włuchiwać się w jękliwe śpiewy towarzyszek... Śnić wolno jej było... Cóż stąd...

Czasem zdawało się jej, że przyjdzie jakaś jasna moc, może ten rycerz ze snów i zdejmie z niej żaby skórę przeklętą, to znów myślala że jakiś zły smok przyjdzie, ażeby ją pojąć za żonę, a ona z nim stoczy straszną walkę i nie ustąpi, nie odda mu się, raczej umrze, o tak chciałaby umrzeć królewna...

A zresztą... Wolno było złotowłosej królewnie zaklętej w żabę śnić srebrne sny... kto wie, może była moja dusza do tej królewny podobna, może mi się zdawało tak tylko, dość, żem swą książkę nazwał na wspomnienie tej królewny, na cześć jej...

Wypuściłem w świat książkę, a każde słowo w niej, wiersz każdy, był z głębi duszy wyjęty, wykochany, przebolały, kto wie może czasem oblany łzami... Z rozkoszą stawałem przed oknem księgarni i patrzyłem na tłoczony dużemi literami, gładkiemi, równemi zimnemi literami napis, a niżej imię moje, odchodziłem i wracałem znowu i marzyłem i czekałem... Tak, czekałem... bo książka to niby hasło, rzuci się je, rzuci w przestrzeń, a potem by się chciało słyszeć odzew, słyszeć, jak gdzieś w człowieczej piersi zabrzmiała bratnia nuta, zrozumiała, wyczuła gdzieś daleko dusza tak samo zaklętej podobna królewnie, tak samo w bajorku zabłąkana, w zgniłym bajorze.

Czekałem więc... i oto marzyłem, że książkę moją wziął do ręki siwowłosy starzec, jeden z tych co długo im było sądzone przez życie odbywać wędrówkę; szedł w swoje słońce zapatrzony; ono może już zgasło, ale starzec wciąż przecie żył jego wspomnieniem, zmęczone oczy jego, nie mogły już odróżnić, że na grobie jego słońce już kilka nowych zapalało się i gasło, on wciąż wierzył w swoje i zastygł, skamieniał w tej siwowłosej wierze. I wziął książkę moją do ręki, i zdało mu się, że słyszy te pienia, co niegdyś kiedy żyć rozpoczynał, kiedy biegł pierwsze staczać z życiem boje, pierwsze zwycięztwa odnosić i pierwsze porażki.... Malowało mu się życie naonczas tysiącami barw świetnych, złociło się blasków słonecznych powodzią i miłosne ciągnęło ku niemu ramiona, — później te krągłe, toczone, pieszczotne ramiona stały się chude, pomarszczone, złe — miast pieścić za gardło dusiły, później starły się kolorów tęczę, umarły blaski słoneczne, ostały szare łachmany.. . I oto wziął do ręki starzec ów książkę moją i ożyły przed nim te cudne pieśni, co mu młodzieńcze pieściły ucho, co mu młodzieńczą pierś zagrzewały i rozpaliły się przed nim dawne zagasłe zarzewia i stanęły przed nim kościoły dawno już w rumowiskach ległe, a pełne Bożego tchnienia: były te kościoły bogate; dziwne światło wlewało się tam przez malowane bajeczne witraże, organów pieśń przelewała się i kołysała pod łukami sklepienia i dusza starca upadła na kolana w ekstatycznej modlitwie, a ręce jego wzniosły się aby błogosławić.

I zdało mi się, że książkę moją wziął do ręki mąż jeden z tych, co zabili w sobie ducha, aby wyżywić ciało, zabrakło im sił w bezustannem z życiem szamotaniu. Cicho szedł podobny siwym wołom, co miarowo kołysząc rogate łby, ciągną pług przez jakąś jałową piaszczystą pustynię; szedł i szedł i szedł, a już w oczy zaglądała mu śmierć duszy, już pierś jego stawała się coraz bardziej podobna do owej pustyni, którą pługiem darł bez celu... I wziął do ręki moją książkę... czytał.. a potem widziałem tylko strzaskany pług, połamane jarzmo, rozdarty rogiem trup krwawy poganiacza, gdzieś na jałowym leżący piasku, i słyszałem jak wsiowi mówili z trwogą, że gromów idącej burzy ulękły się woły pokorne od jarzma, zabiły oracza i uszły do lasu, a tam ze stadem wolnych żubrów błądzą przez biedne i bogate pastwiska....

I zdało mi się, że książkę moją wzięła do rąk dziewczyna... Wieczorem po odejściu kochanka, leniwą wyszeptała modlitwę, zrzuciła suknie i nim usnęła przerzucała karty, myślą może śladami kochanka biegła... ale oto w oczach błękitnych dziwne zapaliły się błyski, pierś jej poczęła poruszać się szybciej, i czarne godziny nocy przechodziły nad jej głową, krążyły wokoło niej tańcem widmowym, i przeszły, i oto różowy świt przybiegł gasić gwiazdy na niebie, a dziewczyna czytała, na białą pierś opadły jej płowe warkocze, szeroko rozwarte płonęły jej oczy — i czytała... niewiem co się w jej duszy działo, niewiem... tylko kiedy nazajutrz przyszedł jej kochanek,

mówiła mu coś długo, potem płakała, głowę na jego pierś oparłszy... a potem on poszedł i nie wracał długo, długo, aż przyniósł jej cudnych kwiatów pęki, kwiatów jakie się tylko w owych ogrodach barwią, gdzie królewna śniła, zanim jej świcża moc nie zaklęła w kulak ochydny... Przyniósł jej te kwiaty stufarbne, i drogą jej zesłał kwiatami i szli po tej drodze w słońce prosto i dookoła pęki kwiatów rzucali...

I zdało mi się, że książkę moją przeczytał młodzieniec, przeczytał i przybiegł do mnie wołając: „mówisz o takich cudnych sztucznych rajach, o archanielskich pieśniach niesłychane opowiadań dziwy, o słońcu co blaskiem nieznudzonym świeci i duszę ludzką przenika na wskróś, mówisz o mocy, która światem wstrząsa, gromom pozwala kreślić szlak, i wznosić niezwyciężone na skałach kościoły, co wrsyc dumnych strzelistą tęsknotą ku niebu biją, a w nich Bóg siedzibę swą ma — Mówiesz o mocy takiej, że się człowiek o tem przedziwnym może podnieść w wyże niedościgniono, mówisz o zwycięstwie, ale którędy powiedz, ty, którędy trzeba iść, żeby zwycięstwo pozyskać, i gdzie jest źródło siłodawczej wody?... i tak mię długo pytał młodzieniec patrząc we mnie oczyma strasznego zabójczego pytania, trawić go znać musiała niezmiernej tęsknoty męczarnia, ale drogi odnaleść nie umiał — A ja nie mogłem powiedzieć mu nic — Więc zaczął już urągać niewiedzy mojej i chciał oplwać mię i przekląć, żem go zwiódł... Wtedy powiedziałem mu strojąc się w tajemniczość proroków nic niewiedzących: „moc twoja w tobie jest, szukaj a znajdziesz“... A jeśli ów nie znajdzie, jeśli mu Bóg nie dał mocy a tylko tęsknotę samą?.. Czemuż nie miałem odwagi powiedzieć jemu, że nie ma miejsca dla niego... że jego duma jest jak ta królewna w sale zaklęta, która nigdy nie doczeka dnia swojego wybawienia... Czemu nie powiedziałem?...

Ale to nie prawda, ja nigdy nie drukowałem tej książki, nie czytał jej nikt, żaden starzec nie wzniósł rąk, ażeby błogosławić moje śmieszne sny, żaden wół nie potrzaskał jarzmo, żadna dziewczyna nie kazała swemu kochankowi iść po kwiaty mistyczne, i żaden młodzieniec nie mi o swoich nie mówił tęsknotach...

Ale to nic... przecie nawet takiej królewnie, z której żadna moc strasznego w sale zaklęcia nie zdejmie — śnić wolno — *M. A. K.*

RUDYARD KIPLING.

WYŁUDZANIE WIADOMOŚCI.

„Powiedz, czyli już zmierzch, czy ściemnia się już w twej Altanie, Ty, za którą tak tęsknię, która tak tęsknisz za mną? O zejdź już nocy — zejdź...“

Potknął się nagle o małego wielbłąda „śpiącego na seraju“, na którym pędzą żywot koniarze oraz przeważna część pospólstwa ze środkowej Azyi —

a ponieważ był rzeczywiście tego spity, naokół zaś nieprzejrzane ciemności, nie mógł się więc podnieść, dopóki mu do tego nie pomogłem. W ten sposób zawiązałem znajomość z Mc Intosh Jellaludin'em. Jeżeli włóczęga, w dodatku spity, nuci Pieśń o Altanie, musi być godnym pożałowania. Podniósłszy się z wielbłądziego grzbietu rzekł z trudnością: — „Jestem tro-oche urżnięty, ale kąpiel w Loggerhead postawi mię znowu na nogi. No, i jak już powiedziałem, czy rozmawiałeś pan z Symondsem o kobylich nogach?“

Tymczasem, Loggerhead leżało od nas o dobrych sześć tysięcy mil, tuż przy Mezopotamii, gdzie rybołostwo i kłusownictwo jest niemożliwe, stajnia zaś Symondsa znajdowała się jeszcze o pół mili dalej, poza zagrodą. Dziwnie brzmiały te wszystkie stare imiona, wśród nocy majowej, w pośród koni i wielbłądów sułtańskiego karawanseraju. Następnie mężczyzna ów zdawał się opamiętywać i trzeźwieć równocześnie. Oparliśmy się o wielbłąda i zwróciliśmy się twarzami w jedną stronę seraju, gdzie paliła się lampa:

„Mieszkam w tamtej stronie — wyrzekł — i byłbym panu niezmiernie wdzięczny, gdybyś był łaskaw i zechciał poprowadzić moje nieposłuszne nogi w tym kierunku. Spiłem się bowiem bardziej niż kiedykolwiek. Rozumie się, nie włączając w to mojej głowy. „Mózg mój zżyma sięna“ — jakże to brzmi dalej? Lecz głowa ma jeździ na — toczy się na śmietnisku, chciałem powiedzieć i przemaga mdłości“.

Przeprowadziłem go w pośród rzędów poprzywiązywanych koni, poczem runął na skraju werandy, tuż przed szeregiem chat krajowców. — „Dzięki, tysiączne dzięki! Księżycu i wy, małe, malutkie gwiazdy! Pomyśleć, że człowiek mógł się tak bezwstydnie... Ale bo też przeklęty trunek. Owidyusz na wygnaniu nie pijał gorszego. Raczej lepszy; był bowiem zamrożony. Niestety! Ja nie miałem lodu. Dobranoc. Przedstawiłbym pana mojej żonie gdybym był trzeźwym — albo też ona ucywilizowana“.

Z ciemnego wnętrza chaty wyszła tubylcza niewiasta i poczęła wołać mężczyznę po imieniu. Oddalił się więc. Człowiek ów, był to najbardziej zajmujący włóczęga, jakiego kiedykolwiek znałem i z biegiem czasu został moim przyjacielem. Był to wysoki, dobrze zbudowany piękny mężczyzna, straszliwie zniszczony pijaństwem i z wyglądu mógł mieć raczej około pięćdziesięciu niż trzydziestu pięciu lat, i tyle jak sam powiadał, miał właściwie. Jeżeli ktoś zaczyna upadać w Indyach, a przyjaciele nie wysyłają go natychmiast do kraju, to spada on daleko niżej, niż się przypuszcza. Gdy zdarzy się przytem, że zmieni wyznanie wiary, jak to uczynił Mc Intosh, niema dlań wtedy ratunku.

W przeważnej ilości wielkich miast, krajowcy opowiadają o dwóch lub trzech S a h i b a c h, nizkiego zazwyczaj pochodzenia, którzy przeszli na muzułmańskie albo indyjskie wyznanie, i którzy żyją mniej więcej jako tacy. Nie często się jednak zdarza, żeby można się dobrać do znajomości z nimi. Mc Intosh zwykł był mawiać: „Jeżeli zmieniam swą religię dla dobra mego

żołądka, nie staram się bynajmniej przez to uchodzić za męczennika w oczach misyonarzy, ani też dbam o sławę".

W początkach naszej znajomości Mc Intosh ostrzegł mię „Zapamiętaj pan to sobie. Nie jestem przedmiotem czyjegoś miłosierdzia. Nie przyjmę od pana pieniędzy, ani pożywienia, ani też pańskich znoszonych sukni. Jestem rzadkiem zwierzęciem, jakiem może być pijak, który się sam utrzymuje. Będę z panem palił, jeśli się panu podoba, gdyż, przyznaję, że tytoń z bazarów nie odpowiada memu podniebieniu; pożyczę od pana również trochę książek, nie zbyt dużej dla pana wartości. Prawdopodobnie sprzedam je później za parę flaszek niezmiernie plugawego miejscowego napoju. W zamian zato będziesz pan korzystał z gościnności, na jaką tylko stać mój dom. Oto słomianka, na której pomieści się dwie osoby i możliwem jest, że ot kiedy niekiedy znajdzie się coś do zjedzenia na tym półmisku. Picie, na nieszczęście, znajdziesz pan na pierwszem miejscu o każdej porze. Tem oto witam pana w mem ubogiem domostwie. (Dok. nast.)

O MALARSTWIE — O ALEGORYACH.

O prawach, rządzących malarstwem mówią najwięcej malarze, nie mówią o prawach rządzących obrazem. Są to dwie rzeczy różne. W tem rozróżnieniu tkwi możliwość swobody i wolności. Nie można do danego obrazu stosować reguł zaczerpniętych skądinąd, z natury, z rzeczywistości, obraz opiera się na regułach własnych. Jedynem i naczelnem prawem, rządzącem malarstwem, jest obraz. Widz ma przed sobą obraz, nie zaś to, co przywykł nazywać rzeczywistością (w przestrzeni, w czasie), bryłą, zdarzeniem, architekturą· Niechaj obraz dany, który mamy przed sobą, dokona ćwierć obrotu dokoła osi poziomej tak, że figury pierwszego planu zostaną na tej utworzonej płaszczyźnie poziomej na przedzie, figury dalszych planów na tylnych punktach i pasmach tej płaszczyzny. Otrzymamy architekturę, przypuściwszy, że nawarswienia figur w perspektywie ułożone są na sobie i wykonane w materyale swoim własnym: kamieniu, papierze, tekturze albo też w materyale żywym. Oczywiście tego żaden malarz nie robi i tego mu robić nie wolno. Oto jedyne prawo. Pozatem w obrazie wszystko wolno. Może się nie udać. Jest to rzecz artysty samego. Zamiarów oceniać nie można, chyba, że są, i one, . . . wyrażone. Wówczas są obrazem (dziełem). Zamiary same w sobie nie istnieją, istnieją w obrazie· Wyrazów niezupełnych niema. Cokolwiek się ukazuje, jest zupełnym wyrazem chcenia. Człowiek żyje, jak myśli i myśli, jak żyje. (Zgoda panuje pod tym względem przedziwna). Cokolwiek pozatem, nazwiemy filozofią albo pragnieniem albo marzeniem.

O prawach malarstwa mówił wiele p. Witkiewicz. „Rzepa dobrze namalowana więcej warta niż źle namalowana tęsknota do nieskończoności". P. Witkiewicz, być może, ma słuszność. P. Żuławski (*Czas* z 27 czerwca 1903) cytuje aforyzm p. Witkiewicza i dodaje od siebie: Możliwą jest rzeczą, iż taka rzepa jest lepsza, lecz dla mnie ona — nic nie warta. P. Żuławski, być może, ma słuszność, ma jej może nawet więcej, ponieważ mówi o sobie. Ani p. Witkiewicz ani p. Żuławski nie widzieli nigdy rzepy dobrze namalowanej. Takiej bowiem niema. Natura wydaje rzep bez liku, nie wydała dotychczas dwóch rzep jednakich. Rzepy dobrze namalowanej widzieć nie można, można widzieć obraz rzepy dobrze namalowany.

A to jest co innego, to są dwie r z e c z y, to są d w i e rzeczywistości (chociaż jedna jest obrazem. Por. „O pamfletach“, *N. Słowo* nr 9. r. 1903), z których każda w innym jest wykonana materyale, z których każda innym podlega prawom, z których każda innem żyje życiem, samodzielnem. W tem źródło wszelkich stylizacyj, wszelkiego nawet stylu, więc życia. Można często słyszeć, jak malarze podziwiają dobrze narysowane brwi lub usta przechodzącej ulicą kobiety. Te okrzyki podziwu do tejsamej należą kategoryi, co aforyzm p. Witkiewicza.

P. Kleczyński, określając rodzaj talentu p. Malczewskiego (*Głos Narodu* z 9 lipca 1903), powiada w pewnem miejscu, że sen na obrazach tego malarza, wizya, jest zbyt dotykalna, zbyt rzeczywista. Taką zaś wizya żadna być nie może. Dawnymi czasy, w chwilach rozterki i wątpliwości, szykowano okręty i puszczano się na dalekie morza do wyroczni, żeby zasięgnąć zdania i rady. Byłaby to podróż zbyt daleka. Otóż w obrazie niema snu żadnego, może być obraz snu, wizyi, a to są dwie r z e c z y, to są d w i e rzeczywistości znowu, samodzielne, niezależne od niczego prócz od siebie samych. (Nie jest zarzutem żadnym, że sen nie jest rzeczywistością). Nie mówiąc już o tem, że to nie wizye lecz poprostu alegorye, oznaki chwilowych usposobień.

Człowiek i obraz człowieka, to dwie rzeczy, których porównywać nie można. Obraz człowieka musi żyć (człowiek sam może nie żyć), obraz nie ma czasu, nie ma przed sobą żadnej przyszłości, nie może być cząstką, musi być beznadziejnie tensam dziś i jutro, cały, nie może się doskonalić, musi żyć raz na zawsze — nie może umierać, ani starzeć się okropnie. W powieści Oskara Wilde'a p t. „Portret Doryana Gray“ odgrywa ważną rolę obraz, który przechodzi w swoim wyrazie przez cały szereg kolei: starzeje się, pokrywa zmarszczkami, zmienia się. Należy przypuścić, że obraz to kiepski, czarodziejską miksturą wymalowany.

O „powierzchni“ mniemają powszechnie, że ona jesz gorszą od „głębi“. Mimo to jednak powierzchnia ta ma być wyrazem głębi, której naocznie pokazać nie można. Jest to znowu wątpliwość i rozterka, o której nieco wyżej. Otóż powierzchnia nie może być wyrazem głębi, ponieważ właśnie wyraz jest głębią powierzchni, jej życiem. (Przez wyraz należy tu rozumieć rzeczywistość, nie wyrażanie się, które do niej zdąża). Malarz, dający n. p ułamki pejzażów, nie daje powierzchni, lecz daje chwilę i to chwilę obecną, stan, do którego rzeczy dla oka doszły. Chwila poprzednia i następna ukazują się w perspektywie. Perspektywa nie polega wyłącznie na ugrupowaniu przestrzennem figur na płaszczyźnie, albowiem n. p. figura jedyna na płótnie wymaga również perspektywy. Na tem polega styl: Velasqueza, Wyspiańskiego. Jest dramatyczny; figura żyje czyli jest w pewnym związku z chwilą poprzednią. Na obrazach p. Malczewskiego (cykl obrazów alegorycznych) takiej perspektywy niema. Jest rzeczą znaną, z historyi dnia wczorajszego i dzisiejszego. Otóż przed obrazem widz stoi jak przed rzeczą nową, albowiem wszelką pamięć utracił. Malczewski ma styl w znaczeniu historycznem, ma pewien system plam barwnych i linij odmienny od systemu innych malarzy; po tem „można go poznać“. To może mieć znaczenie dla historyi malarstwa. Na niektórych tylko obrazach ukazuje się wyraz („Thanatos“ I i II) Fizyonomia a wyraz, to rzeczy różne. Otóż w obrazie wszystko wolno, jak powiedziano. Dobry obraz jest obraz żywy, który ma wyraz. Wszystko inne (rysunek, kolor i t. d.) jest sprawą smaku. Smak, ten najdziwniejszy wysłannik zmysłu użyteczności, zjawi się w porę i nie da rysunkowi być martwym albo kolorowi. Obraz żywy nie może być zły. Obraz nieżywy, rysowany najlepiej, stosownie do reguł malarstwa, nie może być rysowany dobrze, nie może mieć kolorytu i harmonii barw dobrych. Albowiem wyraz i rysunek to rzeczy jedne. Mówiono nam, że niektóre obrazy są tak mistrzowskie, jakby były żywe. Jakby? Dlaczego nie istotnie żywe? Niema się co „zbliżać do natury“. „Natura“ nie obowiązuje, mimo wszelkie nauki mistrzów, którzy może tą d r o g ą dochodzili do swoich rezultatów. Dróg jest ilość nieskończona. Rzeczywistość nie obowiązuje w sztuce, ponieważ sztuka sama jest

rzeczywistością, a nadto dla tej prostej przyczyny, że nie pociąga innych za sobą konsekwencyj nad artystyczne.

P. Malczewski jest malarzem historycznym. Należy tu wziąć historyczność w znaczeniu bieżącem: opowieści zdarzeń. Pan Malczewski opowiada historye, jest ilustratorem i malarzem alegoryj. Można ilustrować myśli cudze, n. p. książkę, i można ilustrować myśli własne. Nie wypowiadać ich wprost, lecz dać znak, że istnieją. Trzeba jeszcze zainteresować, pobudzić ciekawość albo dla myśli albo dla znaku. P. Malczewski, rzec można, wznowił malarstwo alegoryczne. Malując figurę człowieka, obdarza ją emblematami, z których widz, obznajomiony z ikonografią, wnioskuje, że ma przed sobą człowieka, trudniącego się malarstwem. Na tych obrazach ów malarz przebywa różne koleje, z których, wnioskować można, wychodzi zwycięsko, ponieważ ciągle jest tensam. Możnaby pomyśleć rozległą komnatę, na której ścianach w dekoratywnych ewolucyach wiłyby i pięły się — *al fresco* — potworne cielska chimer i najrozmaitszych stworzeń, które nie chcą w żaden sposób być potwornemi. Komnata taka mogłaby być świadectwem upodobań człowieka, który w niej przebywa. Mogłaby świadczyć o kierunku zainteresowania się. Człowiek ów ma szczególne zamiłowanie do ikonografii chimer i ludzi i innych potworów. Do ikonografii czystej, bez przymieszek jakiegokolwiek życia, wyrazu. Otóż nie można już dzisiaj dawać ikonografii chimer, ta już jest, trzeba jeszcze, żeby żyła. Nie można obdarzać figur żadnemi oznakami grozy, strachu, tajemnicy, bo największa już tkwi w samem pojęciu. Może to być alegorya, twierdzenie. Jak wiadomo, alegorye nikogo nie obowiązują, nikogo nie przerażają, tajemnicę bowiem zostawiają daleko za sobą. Rzeczywistość jest bardziej przerażająca. Trzeba więc jeszcze, żeby żyły samodzielnie. Na tem alegorycznem pojmowaniu chimery polega klęska wszystkich malarzy chimer: Moreau, Malczewski i inni. Można ilustrować wrażenie, jakie sprawia. Na obrazach Malczewskiego człowiek patrzący jest przerażony, zadumany, zacięty w p o z i e c i a ł a i jeszcze nadto nie widać powodu, dla którego jest przerażony itd. Zbyteczna dodawać, że niemal wszyscy alegoryści, to zbłąkani malarze portretów, ilustrują człowieka, zamiast dać obraz człowieka. Chimera zaś działa najbardziej, gdy jest chimeryczna, daleka. Taksamo Meduza i inne alegorye, Melancholia, wszystko twory języka, nie istniejące samodzielnie, lecz jako emblematy usposobień.

Leonardo da Vinci namalował Meduzę, żeby wywołać przerażenie. (Byłoby zajmującem, czy namalował ją na to, żeby ją zabić jako bestyę szkodliwą, żeby wykazać jej szkodliwość!...) Musiał użyć całego mechanicznego aparatu, żeby to wrażenie osiągnąć. Sama bowiem nie chciała działać, nie była samodzielna nie... żyła?! Była tylko ilustracyą? Leonardo da Vinci malował potem kobiety, których piękność była ziemska zupełnie, a przed któremi widz stanąwszy, patrzy w szczególny sposób, potem zaś zabiera swoich pięć filozofii i odchodzi krokiem powolnym i wahawym. Na ulicy filozofuje z nałogu: Czy jest możliwą rzeczą, abym wśród mijających mnie kobiet spotkał Giocondę, Granellę, Izabellę, Maryę, te istoty, które przed niczem się nie cofają, ku niczemu nie przychylają. Patrzą na ruch i gwar dokoła, lecz śladu patrzenia i widzenia nie zachowują. Velasquez np. malował ludzi, którzy jakby się wgłąb cofali, ludzi nieprzystępnych. Leonardo da Vinci malował istoty obce dla świata, który i dla nich jest obcy, malował istoty, które... nie istnieją. Męzkie i kobiece, to taka różnica, która zaciera się w mgnieniu oka. Leonardo malował kobiety raczej chimeryczne, (które są chmierą). Malował istoty potworne. Takich na ziemi niema, być może — lecz są takie obrazy. Ziemia jest mocna i takich potworów jej nie trzeba, ziemia wydaje kobiety, jakie malował Giorgione i dawał im życie płomienne. Chimera! Leonardo malował chimerę. Bez skrzydeł; bez oznak; bez emblematów. Człowiek wystarczy. Możemy teraz zawrócić do przestarzałej nieco i skrzywionej formułki: Leonardo był humanistą tzn. wszystko, każdą linię, ożywiał. Oznaki nie byłyby wcale przeszkodą. Chimera jest Doskonałością, lecz i doskonałość jest chimerą.

Nie należy zapominać, że wszelkie ale-

gorye, legendy itd. to twory języka, a więc dzieła sztuki gotowe, nie można ich więc przenosić do malarstwa wedle wskazań języka, który ma swoje życie własne, lecz w malarstwie muszą żyć swojem życiem własnem. Więc trzeba np. żeby taka chimera istotnie zasługiwała na usunięcie, na unikanie, na zabicie, jako bestya szkodliwa i natrętna. Trzeba widzieć jej dzieło. Jak wiadomo, Chimera, istota niebezpieczna, została przy pomocy Pegaza pozbawiona życia przez dzielnego druha Bellerofonta. Postanowiono od owego czasu unikać jej obecności rzeczywistej, która wiedzie na manowce i do nicości, a stwarzać jej obecność artystyczną. I to okazało się zbyt trudnem. Ów bowiem Bellerofon wyprawił się pogodnie na chimerę i zabił potwora najbardziej szkodliwego pod słońcem. Chimera, nieśmiertelny twór języka, istnieje wciąż. Więc jej nie zabił? Obrazu jej nie zabił? Widocznie był artystą, więc człowiekiem praktycznym — (niepraktyczne są jeszcze tylko kobiety, zbytnio przywiązane do rzeczywistości, chimeryczne), — wolał więc, to tylko przypuszczenie, przedstawić ją niż pójść za nią i poddać się potwornym jej wdziękom. Dotychczas bowiem nie wytłómaczono zagadki, dlaczego jej istotnie nie zabił. Lecz jak ją przedstawić? Jak powiedziano, była to rzecz nieco trudna. Przedstawić ją samą, więc żywą, znaczyło skazać się na śmierć niechybną, albo skazać się na to, żeby ją zabić natychmiast. Przedstawiono więc chwilę i akt owego zabicia. Chimera okazała się niebezpieczeństwem... małem. Pozwala bowiem nawet .. przedstawiać się. Obawy przed niebezpieczeństwem były płonne, to prawda. Lecz były. Bellerofon, może był malarzem, rzeźbiarzem, poetą? albo, jakby można wnioskować z nagłego i nieobmyślonego działania, całym narodem, struchlałym wobec, czasem już nie samego niebezpieczeństwa, ale możliwości niebezpieczeństwa. Jakiego, niewiadomo. Lub może był wojownikiem, takim Protesilasem, który dla Sławy, tej drugiej chimery, porzuca Laodamię, chimeryczną kapłankę Erosa? Zagadki. Ów Bellerofon nie pomyślał na chwilę, że właśnie niebezpieczeństwo, szkodliwość jest chimerą i, że przedewszystkiem sama chimeryczność jest chimerą.

Wolno myśleć, że chimera nie istniała. Powieść o chimerze może chciała pokazać, jak człowiek, którego wołają dzieła, zabija chimeryczność· Powieść byłaby dla poetów, malarzy, rzeźbiarzy, wszystkich artystów, rycerskich potomków Bellerofonta, którzy pod nazwą kapłanów Chimery, ciągnionych w nieznane dale, zabijają ją na każdym kroku i nie innym jak ów środkiem, bo przy pomocy Pegaza, tej innej chimery. Najmniej marzycielski, to ród artystów, najwięcej praktyczny, więc daleki od urzeczywistniań. Powieści takie jednak nie były tak powikłane: opisywały sprawy rzeczywiste: obojętnem jest czy rzeczywistością, faktem, było zmyślenie, sen, wierzenie lub co innego. (W tym kierunku rozpatrzeć p. Malczewskiego: „Melancholię", w której niema rzeczywistości i która dlatego jest tylko alegoryą). Albowiem nie o to idzie, czy istnieje to, w co się wierzy, lecz że się wierzy. Otóż alegoryści wszystkich czasów, o ile szli za językiem, zawsze wierzyli rzecz odwrotną: rzecz przedstawiona jest czem innem, nie tem, czem jest, dlatego nie obdarzali jej życiem pełnem, tylko jedną „właściwością", albo też zaznaczali upozowaniem ciała. Tak postępuje dziś p. Malczewski w myśl nieuchronnej tradycyi alegorystów, którzy takie stwarzali sobie zadanie.

Istnieją narody praktyczne, po części Francuzi, w których chimeryczność jest ideałem. Prawdopodobną jest rzeczą, że takim stylem obdarzeni, nie omieszkają wydać w tym względzie ustawy. Albowiem razem z pragnieniem nie otrzymują jeszcze w darze stylu nowego i żądza urzeczywistnień jawi się natychmiast. Najwięcej też „niebezpieczeństw" we Francyi. Jestto sposób, równie dobry jak inny, podkreślania tego, co się ma i, czego się nie ma.

Alegorye p. Malczewskiego ilustrują tego rodzaju niebezpieczeństwa. Obdarzony zmysłem praktycznym artysta nie zabija niebezpieczeństwa, lecz je przedstawia.

Na tym cyklu obrazów alegorycznych można śledzić h i s t o r j ę, k o l e j e człowieka

(samego człowieka nie szukać, nie znajdzie go wcale), który nazywa się artystą, malarzem, lub jest raczej człowiekiem, który coś robi, na coś patrzy i t. d. Do innych spraw obrazy te nie obowiązują. Na jednym obrazie np. wymalował p. Malczewski figurę człowieka, zaopatrzoną we wszystkie emblematy niewoli i potwora, którego zdrowe, rumiane policzki rozpiera śmiech. Ów potwór patrzy, jak człowiek zdejmuje sobie z ręki kajdany Taki jest fakt. Nie wiadomo, czy ten człowiek i ten potwór się nie bawią. Alegorye i emblematy nie opowiedzą człowieka, który jest jedyny w swoim rodzaju, ponieważ to nie fakty samoistne, lecz mogą określić np. zawód, rodzaj zajęcia lub zainteresowania. Emblematy są rzeczą zbiorową. Lecz i to mogłoby być interesujące, gdyby, powiedzmy, było przechowywujące. Gdyby można wywnioskować, że ten obraz człowieka (nie tamten w pracowni lub na ulicy) żyje. Lecz tu mamy do czynienia z samemi oznakami niesamodzielnemi. Sztuka bizantyńska, potem średniowieczna zachodnia nie inaczej postępowała. Miała swój wyraźny cel. Miała ilustrować pewne rzeczy, które istniały czy jako instytucye, czy jako wyobrażenia. Lecz już i wówczas ilustracya nie wystarcza, trzeba pełnego wyrazu, trzeba swobody, rzeczywistości. (Albo na alegorycznym obrazie: Melancholia“; p. M· przedstawił p r a g n i e n i e malarza zabicia melancholii, emblematu; malarza, który, drugi Bellerofon, wybiera się na chimerę z pędzlem w ręku). Pomyślane i wykonane dla celów dekoratywnych, więc zależnych i uzupełniających, potwory na katedrach gotyckich, nie są jedynie dekoracyą. Potwory te żyją samodzielnie, jakkolwiek spełniają dziwaczne może dla nich zadanie uzupełnienia, dekoracyi.

Malarz ani żaden inny artysta, nie przedstawia życia, lecz daje obraz żywy, samotny i niezależny. Powierzchnia jest taksamo istotą jak głębia, treść i forma tradycyjna. W tych granicach, tak bardzo nikłych, że ich prawie niema, zmieści się wszystko; i wszelkie alegorye. Albowiem ilustracya ma równe prawa z innemi gałęźmi produkcyi, pod warunkiem samodzielności, odrębności materyału.

Porównania wszelkie są łatwe. W tych uwagach szło jedynie o drobny urywek z dziejów alegoryi.

I o określenie, czem obrazy te p. Malczewskiego s ą, wedle własnego ich prawa ilustracyą, nie zaś, czem nie są albo, czem je chciał mieć autor, tzn. jakiego się po nich spodziewał wrażenia. Nie można niemal nigdy mówić o rozbieżności zamiaru i wykonania. Zamiar bowiem, przeważnie, wychodzi poza dzieło, odnosi się do oddziaływania, do donioslości dzieła już wykonanego, nie zaś do konstrukcyi samego dzieła (jakkolwiek sprawy te schodzą się niemal zawsze, prawdopodobnie). Otóż donioslość, wrażenie, to rzeczy nieobliczalne, rządzące się własnemi prawami, przypadkiem. Obrazy p. Malczewskiego (a przemawia za tem cała jego kolorystyka) są ilustracyą, której braknie miejsca, czasu, która, umieszczona tam, dokąd przeznaczenie ją woła, gdzie jej tekst i perspektywa, razem z nim (książka lub komnata) spełniałaby może swe zadanie. Sama jest niezupełna. Do pewnego stopnia każde dzieło jest zależne, bo jest w związku z resztą świata, dzieł i z samym autorem, samodzielności i swobody nie narusza jednak ta granica. *St. Lack.*